

WYSTARCZY
jedno
SPOJRZENIE

niewłaściwy

FACET

Tanec nad przepaścią #1



ANNA PAMUŁA

Copyright ©

Anna Pamuła

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Anna Adamczyk

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-484-9

ANNA PAMUŁA

**NIEWŁAŚCIWY
FACET**

TANIEC NAD PRZEPAŚCIĄ #1

OŚWIĘCIM 2021

Dobre rzeczy przychodzą, kiedy spodziewasz się złych. I na odwrót.

Dla niepoprawnych marzycielek

Rozdział 1

Sky

Po raz setny spjrzałam na zegarek. Cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną, nie potrafiłam czekać i każdy moment bezczynności niesłychanie mnie denerwował.

Obecnie, totalnie wbrew swoim upodobaniom, stałam przed klubem The Fight, otoczona tłumem zmanierowanych, spragnionych drżących basów i mocnego alkoholu, bogatych nierobów. Nie rozumiałam, dlaczego muszę stać przed drzwiami, zamiast zostać tak jak zawsze wpuszczona tylnym wejściem, bez kolejki. Nie podobał mi się również taksujący mnie wzrok ponurego selekcionera. Ważniak miał słuchawkę w uchu, garnitur wart fortunę i najwyraźniej był nowy, bo nie wyłowił wzrokiem kobiety właściciela klubu – mnie.

Kolejka nie posuwała się ani o centymetr, Boss, jak wszyscy nazywali mojego chłopaka, uparcie nie odbierał telefonu, a ja przed podjęciem decyzji o powrocie do domu, liczyłam w duchu do stu, tracąc nerwy już przy siedmiu. Nagle tłum przede mną zafalował i ściana ludzi ruszyła lekko do tyłu, przepuszczając trzech mężczyzn. Przede mną roztaczał się niecodzienny widok: Joe i Duży Mike – dwaj osobiści ochroniarze Bossa, prowadzili między sobą młodego, wysokiego faceta. Właściwie taki pochód nie powinien nikogo dziwić, bo przecież wyrzucany gość w asyście obsługi, mógł pojawić się w drzwiach w każdej chwili.

li, ale jeśli nawet dochodziło do sporadycznych awantur w klubie, to ochrona wyprowadzała podchmielonych agresorów tylnym wyjściem. Po drugie mężczyzna nie wyglądał ani na ofiarę, ani na prowodyra zamieszania. Prawdę mówiąc, nie wyglądał nawet jak typowy klient, mógł mieć góra dwadzieścia lat i chociaż podobnie jak większość imprezowiczów odziany był od stóp do głów w czern, jego ubranie, owszem szykowne, było jednak zupełnie nieformalne. Wąskie spodnie, podkreślające świetnie zbudowane, długie nogi i sportowa bluza, której kaptur zasłaniał nie tylko włosy, ale i też większą część twarzy. Głęboką czern zakłócały dwie plamy koloru – zaschnięta krew na dłoni i rozerwanym rękawie oraz białe, chirurgiczne plastry, scalające pękniętą skórę na kości policzkowej. Coś nie pasowało w tej scenie. Chłopak był traktowany przez ochroniarzy z niesamowitym szacunkiem, niemal jak celebryta. Mijając kolejkę, odwrócił głowę i spojrzał prosto na mnie. Fakt, że jego twarz ukryta była w cieniu kaptura, nie ułatwiał obserwacji. Jednak, kiedy na chwilę znalazł się w świetle podjeżdżającego samochodu, zdążyłam zauważyć niesamowitą barwę jego oczu. Mieszanka kilkunastu odcieni ciemnego błękitu, z kroplą fioleto, których głębie podkreślały setki maleńkich, granatowych punkcików, rozchodzących się promieniście od źrenic aż po krawędzie tęczówki. Kolor wydawał się surrealistyczny, mimo otaczającej nas ciemności czysty i wyraźny, jakby przepuszczony przez filtr Instagrama. Zatonęłam w nim, na moment tracąc oddech. Nasz kontakt wzrokowy trwał tylko kilka sekund, a przez tę chwilę czułam się zawieszona w próżni, zupełnie rozbita i poniekąd świadoma, że właśnie zdarzyło się coś wyjątkowego, czego znaczenia jeszcze nie pojęłam. I nie chodziło tu tylko o urodę tego chłopaka,

ale o to, co ujrzałam w jego spojrzeniu. Była to czarna furia, na moment ustępująca światłu, jakby mnie znał i tę zmianę wywołał właśnie mój widok.

Trójka mężczyzn szybko oddaliła się w kierunku podjazdu dla VIP'ów, ignorując zaciekawione spojrzenia ludzi stłoczonych za czerwoną, pluszową liną. Natychmiast podjechał czarny luksusowy SUV z przyciemnianymi szybami. Mike z niespotykaną u niego atencją otworzył drzwi od strony pasażera, chłopak wsiadł i auto ruszyło z piskiem opon.

Nie miałam już więcej czasu, żeby zastanawiać się nad tą sceną, bo selekcjoner ponownie zaczął wpuszczać ludzi i chcąc wynagrodzić nam oczekiwanie, robił to wyjątkowo sprawnie.

Po chwili byłam w środku. Najbardziej ekskluzywny klub w tej części kraju, który tętnił mroczną transową muzyką, wabił wysmakowanym wnętrzem i snobistyczną klientelą, szastającą lekko zarobioną kasą, obnoszącą się z drogimi ciuchami i niskimi morale.

Bez pukania wpadłam do biura Bossa. Obrócił się gwałtownie w moim kierunku. Najwidoczniej przerwałam mu ważną rozmowę telefoniczną, jedną z tych, które zawsze urywały się w mojej obecności, bo i tym razem suchym tonem powiedział do słuchawki, że oddzwoni i bezpardono-wo zakończył połączenie. Był spięty, ale szybko zamaskował to ciepłym uśmiechem, który tak lubiłam.

– Coś się dzisiaj wydarzyło? – zapytałam.

– Nic niezwykłego, wieczór jak każdy – wymruczał mi do ucha, posyłając przyjemny dreszcz ku samym koniuszkom

palców moich stóp. Nie dociekałam dłużej. Nauczyłam się już, że i tak nie uzyskam żadnych odpowiedzi.

Właśnie dlatego nie umiałam określić statusu naszego związku. Pomieszkowałam w jego ogromnym, nowoczesnym apartamencie, podróżowałam z nim po świecie, pozwoliłam sponsorować swoją szkołę tańca, stałam u jego boku niczym życiowa partnerka. Równocześnie, nieustannie miałam wrażenie, że nasze bycie razem jest niekompletne i tylko na jego warunkach – do granic wytyczonych jego prywatnością, o którą nie wolno mi było pytać. Tak niechętnie mówił o sobie, że po kilkunastu miesiącach spotykania się wiedziałam tylko, że świetnie radzi sobie w biznesie, rodzice zmarli lata temu i jedyną jego rodzinę stanowił młodszy brat, o którym zresztą też niewiele wspominał. Reszta to był szalony seks i oddawanie się kosztownym przyjemnościom. Nauczyłam się skupiać na dobrych stronach tego związku i przymykać oczy na jego powierzchowność. Nie byłam typem kociaka uzależnionego od głębi męskich uczuć, który godzinami analizuje zaangażowanie emocjonalne partnera, zadręczając obie strony próbami uzyskania czegoś więcej. Był wierny, opiekuńczy, świetny w łóżku i musiałam przyznać, że wynagradzało mi to w pełni brak dostępu do najintymniejszych zakamarów duszy Bossa.

Z uśmiechem rejestrowałam jego kuszący dotyk na nagiej skórze pleców, odważnie wyeksponowanych przez mocno wyciętą czarną sukienkę od Donny Karan – prezent od niego.

Poznaliśmy się właśnie tutaj, dokładnie w tym biurze, gdy zostałam do niego zaproszona, celem omówienia artystycznej oprawy imprezy z okazji trzeciej rocznicy otwarcia klubu. Pierwszy event, na który układałam choreo-

grafię dla mojego zespołu, pierwsze zarobione pieniądze i pierwszy facet, z którym poszłam do łóżka po zaledwie trzech dniach znajomości. Pokaz wyszedł na medal, a ja zostałam oficjalną kochanką najlepszej partii w mieście. Jego charyzma i wygląd czyniły z niego PANA tego miejsca i niesamowicie łakomy kąsek dla wszystkich kobiet.

Pamiętam, kiedy witając się ze mną pierwszy raz, uściśnął mi dłoń. Wyglądał niezwykle godnie w stalowym garniturze od Armaniego. Wysoki i szczupły mógł się pochwalić idealnie wyrzeźbionym ciałem. Najbardziej urzekła mnie jego męska twarz i nieprzeniknione chłodne spojrzenie, które tylko dla mnie miękło, stając się ciepłe i przepełnione uczuciem.

Otaczała go aura sukcesu. Ludzie go szanowali, wzbudzał w nich respekt podszyty odrobiną strachu. Robili dokładnie to, czego oczekiwał. Potrafił tak nimi sterować, że poddawali się jego woli z ochotą, niemal ciesząc się, że mogą ulec. Ja też. Mimo hardzego charakteru, odpowiadało mi wtedy bycie pod kontrolą, mogłam skupić się na sztuce, na tym, co uwielbiałam robić i w czym byłam według ekspertów świetna – na tańcu. Nie obchodziły mnie pieniądze, pewnie dlatego, że będąc z Bossem mogłam się w nich pławić. Nie miałam żadnych dylematów, oprócz obsady mojego kolejnego show.

Noc upłynęła częściowo w klubie, w którym gawędziłam z barmanem, czekając, aż mój facet skończy pracować. Później kochaliśmy się na ogromnym, mahoniowym stole konferencyjnym w jego biurze i mimo że to ja sama zainicjowałam ten seks, tym razem nie potrafiłam w pełni podzielać zaangażowania mojego kochanka. Miałam wrażenie, jakby części mnie nie było, że coś, co mną poruszyło, wyrzucając mnie z bezpiecznej orbity, oplata mnie jak sieć,

zakuwając mój umysł w ciasną obręcz. Nic już nie było tak samo lekkie i beztroskie, a przecież właśnie taki bezrefleksyjny, niefrasobliwy styl życia z przyjemnością zaadaptowałam. Od tej chwili zaczęłam analizować, dzielić sekundę na drobniejsze jednostki, w kółko odtwarzając w pamięci dręczące mnie spojrzenie. Im więcej czasu mijało od tego „momentu błękitu”, tym większą stawał się dla mnie obsesja. Nie umiałam pozbyć się go spod powiek, ani wykonywać najprostszych, niemal mechanicznych czynności, nie myśląc o krwi na dłoniach chłopaka, o tajemnicy okolonej gęstym wachlarzem czarnych rzęs i o tej sekundzie, kiedy poczułam, że on wie o mnie wszystko. Mogłabym uznać, że zwariowałam, ale czy da się stracić głowę dla bezimiennej, być może wymyślonej i wyidealizowanej postaci? Był krótkim snem, fikcją, migawką, żartem mojej wyobraźni. A jednak towarzyszył mi wszędzie, dręczył mnie i dekoncentrował. Sam fakt, że takie nic, zaledwie kropla w oceanie czasu, potrafiło zamienić mnie w rozhisteryzowaną, bezpłodną artystycznie gówniarę, doprowadzał mnie do szału. Zamiast zebrać resztki rozumu w garść i jak na profesjonalistkę przystało, kończyć już ostatnie próby przed konkursem tanecznym, który znowu zamierzałam wygrać, ja maniakalnie śniłam na jawie o Panu Nikt.

Powinna mieć ogromną motywację do pracy. Bądźmy szczerzy, dwudziestosześcioletnia tancerka stoi u progu emerytury, nieważne, jak bardzo półki w jej domu uginają się od nagród i trofeów. Jedyнным sposobem pozostania w branży było szkolenie młodych, reżyseria i uczenie choreografii – moje nowe powołanie, pasja i źródło dochodu.

Studio, które od trzech lat z powodzeniem prowadziłam, obsługiwało głównie prestiżowe imprezy o różnym charakterze. Obecnie panowała moda na układy w stylu „fla-

sh mobów” – czyli pozornie spontaniczny taniec, mający być zaskoczeniem dla zebranych gości. Zasada była prosta – tancerze wtapiali się w tłum, by w końcu dać brawurowy pokaz mieszaniny tańca nowoczesnego, hip-hopu i jazzu. Ot, słyhać pierwsze dźwięki muzyki, jedna postać zaczyna się poruszać w jej takt, później druga, i tak kilkanaście zwinnych ciał przekuwa pozorny chaos w idealnie zsynchronizowany pokaz mojej pomysłowości i ich mistrzowskiej techniki. Nie żebym sama już nie tańczyła, wręcz przeciwnie. Spędzałam na sali nawet więcej czasu niż moi tancerze – każdy ruch musiałam widzieć na sobie, musiałam poczuć każdym włókmem mięśni ich przyszły wysiłek i na własnej, odbijającej się w lustrach sylwetce stwierdzić, czy jest w nim wystarczająco dużo zmysłowości i piękna. Może dlatego ufali mi bezgranicznie. Wiedzieli, że pod moimi skrzydłami ich kariera nabierze rozpędu, a godziny katorzniczej pracy zostaną docenione, odpowiednio opłacone i zauważone nie tylko przez formalnych krytyków, którzy coraz częściej wspominali o nas na łamach pism branżowych, ale też przez „podziemie”, jak nazywaliśmy grupy tanecznych rebeliantów, organizujących konkursy, jak ten, do którego się przygotowywaliśmy. Oczywiście na tym etapie nie musiałam już nic nikomu udowadniać, ale chciałam wygrać z sentymentu, bo to przecież street dance mnie wychował. Tam, na ulicy, zainfekowano mnie dźwiękiem, pierwszy raz poczułam się częścią grupy, ogniwem scalającym zbieraninę różnorodnych osobowości, raz byłam tłem, raz solistką, ale wtedy liczył się tylko wspólny taneczny haj. Jeszcze zanim osiągnęłam pełnoletność, dostrzeżono mój talent i z nieśmiałej dziewczyny awansowałam do roli gwiazdy. Zepsuło mnie to, ale też dało wiarę w siebie, tak niezbędną, żeby piąć się coraz wyżej. Dwa

lata z każdej rywalizacji wychodziłam wygrana. Żyłam tańcem, taniec mnie wypełniał, wygrywał z każdą inną potrzebą i przez to poniekąd pozbawiał człowieczeństwa. Odizolowałam się od „normalnych” ludzi, na nic, co nie było połączeniem ruchu i muzyki, nie miałam czasu ani serca. Aż do wypadku.

Moje ciało nie wysyłało ostrzeżeń, a może ja po prostu odrzucałam myśl o przetrenowaniu. Podczas jednej z prób zerwałam ścięgno Achillesa. Dlatego nazywam to zajście wypadkiem, bo z definicji kontuzja tego typu jest nieprzewidywalna, chociaż dużo łatwiej do niej dochodzi na tkankach osłabionych zapalnie, tak jak moich, wyniszczonych nieustannymi treningami. Długie miesiące rehabilitacji zmusiły mnie do przewartościowania całego życia i załatwiły mi detoks od tańca. Myślę, że ból podczas tego odtruwania był taki sam, jaki cierpią pacjenci klasycznych klinik odwykowych. Umierałam, ale nieważne, jak głęboka była moja depresja, ciało, wbrew stanowi mojej duszy, powoli odzyskiwało dawną formę, chociaż oficjalnie nigdy już nie stanęłam przed widownią.

Pamiętam dzień, kiedy żegnałam się ze swoim rehabilitantem. Wyznałam mu, że wcale nie czuję się naprawiona, wręcz przeciwnie, ta pieprzona kontuzja urosła do rangi nieodwracalnego kalectwa. On dobrze wiedział, że nie chodzi o nogę. Darzyłam go zaufaniem i sympatią, więc kiedy wyciągnął z kieszeni pomietą ulotkę ogłaszającą konkurs na najlepszy artystyczny pomysł mający uświetnić urodziny The Fight i kazał mi „coś z tym zrobić” potraktowałam go poważnie.

Miasto u moich stóp leniwie budziło się do życia. Stałam przy przeszklonej ścianie apartamentu Bossa i patrzyłam na srebrną mgłę topniejącą leniwie w pierwszych promieniach słońca. Wypełniony świeżo zaparzoną kawą kubek, parzył moje dłonie i rozpraszał mnie drobnymi, bolesnymi impulsami, uniemożliwiając ponowne stracenie kontaktu z rzeczywistością.

Od tamtego spotkania minął tydzień, ale dla mojej pamięci zdarzyło się ono przed chwilą. Zwykle, choćbyśmy najmocniej jak potrafimy, chcieli na zawsze utrwalić pod powiekami pewne obrazy, wyslizgują się nam one, płowieją, po czasie przypominając bardziej impresjonistyczną, barwną plamę na zniszczonym płótnie niż pełen detali, ostry obraz, który tak bardzo chcieliśmy zachować. Nie tym razem.

Każdej nocy szukałam go wzrokiem w klubie. Miałam nadzieję, że znów tam się pojawi i czułam, że tylko „odczarowanie go”, nadanie mu imienia, odarcie z tajemnicy przyniesie mi ulgę i umożliwi powrót do normalności. Zaczęłam nawet przepytować Dużego Mike’a o tamtą noc sprzed tygodnia. Szybko opanował zaskoczenie i zaprzeczył, jakoby takie zdarzenie kiedykolwiek miało miejsce. Zasugerowałam przejrzenie zapisu z kamer monitorujących przedsiónek The Fight, żeby udowodnić mu pomyłkę, ale wtedy spojrział mi w oczy i z naciskiem powiedział:

– NIGDY tego nie widziałaś, panno Sky. Ani ty, ani kamery, ani ja i mój szef. Odpuść.

Nie przywykłam do takiego tonu. Do tej pory stosunek obsługi klubu do mnie był pełen szacunku, a nawet lekko irytująco służalczy. Teraz usłyszałam w jego głosie ostrzeżenie, co rozdrażniło mnie na tyle, że z czystej przekory, postanowiłam nie odpuszczać i za wszelką cenę

poznać tożsamość nieznanego. Zabrałam się do tego jeszcze tego samego dnia, wpadając do Bossa, między próbami. Weszłam do biura dokładnie wtedy, kiedy zbliżała się pora odprawy menadżerów, którą osobiście przeprowadzał każdego wieczoru przed otwarciem. Boss mi ufał i znałam kod do pancernych drzwi jego biura. Kiedy tylko zostałam sama przy jego komputerze, zaczęłam szukać nagrań z tamtej nocy. Istniał zapis z każdej kamery, z wyjątkiem tej z korytarza prowadzącego do wyjścia. Film został usunięty, a to oznaczało, że mój chłopak coś ukrywał, bo dostęp do tych danych miał tylko on. Patrzyłam z niedowierzaniem na niekompletną listę tracków i czułam zimny dreszcz biegnący wzdłuż linii kręgosłupa. Instynktownie odchyliłam się, żeby przytulić ciało do oparcia biurowego fotela, ale zamiast sztywnej skóry poczułam na plecach miękkiego materiału. W nikłym świetle monitora nie mogłam wcześniej zauważyć leżącej na oparciu czarnej, sportowej bluzy. Poznałam ją od razu, bo mimo że ktoś już usunął krew z mankietu, nie zadał sobie trudu, żeby zszyc charakterystyczne rozdarcie. Należała do podobno nieistniejącego chłopaka.

O mały włos Boss zastałby mnie z nosem wtulonym w kaptur ciucha, który trzymałam w objęciach. Nie wiem co we mnie wstąpiło. Spijałam nozdrzami ledwo uchwytną woń drzewa sandałowego, kadzidla i bergamotki. I coś jeszcze, zapach towarzyszący mi latami, a którego teraz, jak na złość, nie potrafiłam sklasyfikować. Coś, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa i stymulowało produkcję endorfin. Coś, co podrywało do lotu motylki w moim podbrzuszu, wysyłając je w wirujące tournée po całym ciele! Wspomnienie najlepszych czasów – przeciwbólowa maść na urazy! Bingo! Aż podskoczyłam rażona dźwiękiem

własnego śmiechu. Pamiętam czas, kiedy zużywałam jedną tubę dziennie, jak każdy z nas – wariatów, trenujących bez umiaru. Chłopak przestawał być halucynacją, posiadał zapach i najwyraźniej też obolałe ciało, które niedawno wypełniało materiał leżący w moich dłoniach. Poryw szaleństwa odciął zasilanie szarym komórkom, wyłączyłam szybko komputer, poderwałam się z fotela, wrzuciłam bluzę do shopperki, błogosławiąc jej słuszne rozmiary, i wybiegłam z biura, na nowo zabezpieczając drzwi kodem.

Tak, ukradłam cudzą bluzę z biura mojego faceta.

Gorzej, uciekłam z klubu, nie zwracając uwagi na zaskoczone spojrzenia personelu. Pędziłam goniona wyrzutami sumienia i świadomością, że oto mając ostatnią możliwość świadomego wyboru, skręcam w odwrotnym kierunku niż ten, który podpowiada rozum. Kiedy tylko pokonawszy biegiem trzy piętra do mojego mieszkania, zatrzasnęłam za sobą drzwi, już w przedpokoju zdarłam z siebie swój podkoszulek i założyłam porwaną bluzę. Osunęłam się na kolana. Nie mogłam złapać tchu, ale nie była to wina biegu. Serce waliło mi jak szalone, przed oczyma migotały srebrzyste płatki, czułam dudnienie w skroniach i miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. Moje otulone jego ubraniem ciało drżało, wstrząsane wydartym z duszy szlochem. Sama zdiagnozowałam własne szaleństwo.

Zamknęłam się w domu na trzy dni. Odbierałam telefony tylko od Bossa, wykrcęając się od jego odwiedzin najpierw pracą, a później chorobą. Pewnie bym dłużej tkwiła zwinęta w kłębek, z jego bluzą służącą teraz za piżamę, ale dobijające się do drzwi pielgrzymki tancerzy pod wodzą

Jaya – mojego przyjaciela i asystenta, zaczęły denerwować sąsiadów i nie mogłam już dłużej udawać, że umarłam. Musiałam ogarnąć ten emocjonalny burdel i jeśli nawet nie miałabym prywatnie już nigdy powrócić do równowagi, musiałam stanąć na nogi zawodowo, byłam to winna moim ludziom.

Zegar tykał, bezlitośnie odejmując mi czas potrzebny na dokończenie projektu. Konkurencja w tym roku była miażdżąca, tak jakby uzdolnione dzieciaki drwiąco pączkowały za moimi plecami. Ćwierćfinały pokazały niespotykany poziom konkursu, a ja w samoocenie spadłam z piedestału prosto na glebę, jak worek cementu, bez wdzięku, za to z hukiem i w tumanach kurzu. Nawet mój oddany zespół zaczął krytykować mierny stan naszych przygotowań. Niemal dosłownie rwałam włosy z głowy, nie spałam po nocach i regularnie waliłam głową o ścianę – wszystko na nic. Brakowało w naszym show kropki nad i, ostatnich pięciu minut, które miały stanowić wizualny orgazm i udowodnić widzowi, że lepiej już się nie da, nasza wyobraźnia nie zna granic, obca nam grawitacja, a fizyczne ograniczenia nie dotyczą naszych ciał. Finał miał zapadać w pamięć, pobudzać zmysły, być jak seks, adrenalina i czekolada w jednym.

Szukałam inspiracji wszędzie: w filmie, muzyce, w galeriach sztuki, na pokazach mody i w literaturze. NIC! *NOTHING!* *NADA!* *NIENTE!* Zero pomysłu, narastający stres i pikujące poczucie własnej wartości. Stałam się nie do wytrzymania dla siebie i dla wszystkich, którzy mieli nieszczęście znaleźć się obok. Najeżona, sfrustrowana jędzka, skretyniała, intelektualnie bezpłodna upadła gwiazda parkietów. Przypadek beznadziejny, niegodny zaśmiecać powierzchnię ziemi swoją nędzną osobą.

Nawet Boss z trudem nadażał za zmiennością moich nastrojów. Dla niego też byłam nieznośna. Uosabiałam emocjonalną sinusoidę – jednego dnia słowotok, innego grobowa cisza. Potrafiłam całą noc spędzić, doprowadzając nas oboje do bolesnych otarć okolic intymnych, po to, żeby kolejny tydzień tkwić w ortodoksyjnym celibacie. Pozwalał mi na to, najwyraźniej wychodząc z założenia, że kryzys sam minie, kiedy tylko doznam artystycznego olśnienia. Jednak mój stan z każdym dniem się pogarszał i kwalifikowałam się na terapię psychiatryczną, tylko czy oczadzenie nieznanym facetem, to jednostka chorobowa, na którą jest recepta?

Wszystko przez NIEGO! No dobra, ktoś pewnie powie, że mogę obwiniać jedynie siebie, bo sama pozwoliłam sobie na to autodestrukcyjne szaleństwo. Fantazjowanie na jego temat pochłonęło sto procent mojej uwagi, ale robiłam to nadal, łudząc się, że gdy dojdzie do przesycenia, mój umysł się znudzi, nastąpi przesilenie i przełom.

Po kolejnym dniu przestoju twórczego postanowiłam się zresetować, oddać ciszy, porywistym podmuchom wiatru i samotności. Przed nocną próbą ruszyłam na plażę. Gradowe chmury wisiały nisko nad ziemią, za godzinę miało zacząć się ściemniać, więc miałam zarówno szansę, jak i nadzieję na kompletną samotność, która powinna mnie oczyścić, uspokoić i może wreszcie pobudzić wyobraźnię.

Kroczyłam ostrożnie, bosymi stopami unikając ostrych kawałków muszli wyrzuconych przez fale. W swoim zamysleniu nawet nie podnosiłam głowy, skupiona na łaskotaniu zimnego piasku oraz trosce o brak finałowego numeru. Takim sposobem omal nie wpadłam na klatę półnagięgo chłopaka, który równie oderwany od rzeczywistości, jak ja,

ze słuchawkami w uszach spędzał czas, wykonując serię doskonałych technicznie salt poprzecznych.

– Sorry – wymamrotałam odruchowo i odskoczyłam w bok, ochlapując lodowatą wodą siebie i jego.

Podobno istnieje taka ortodontyczna przypadłość, polegająca na niedomykalności szczęk. Miałam objawy – przejęłam legendarną mimikę filmowej Belli Swan i gapiłam się na ciało przede mną z wyrazem kompletnego zidiocenia na twarzy. Kiedy już jakimś cudem oderwałam wzrok od jego absurdalnie doskonałego sześciopaku, ogarnęłam bliźnię na prawym boku, przesunęłam wzrok na arogancko perfekcyjną klatkę piersiową, smukłą szyję z kolejną bliźnią oraz rozciągnięte w beczelnych uśmiechu zmysłowe usta. Durne serce straciło rytm, byłam pewna, że gołym okiem widać, jak trzepoce w moich piersiach. Nie miałam odwagi sięgnąć wzrokiem ponad wierzchołek jego nosa. Przechylił głowę na bok i dotknął dłonią mojego podbródka, opuszką palca uniósł go kilka centymetrów wyżej, szukając kontaktu wzrokowego. Od razu poznałam TE oczy. Błękit indygo w oprawie długich, czarnych rzęs.

Blue

I oto stała przede mną kobieta, której plakat ozdobił sypialnię w moim domu rodzinnym. Skylar Zane, której taniec podglądałem z zaplecza klubu, w którym dorabiałem na zmywaku. Uwielbiana personifikacja nastoletnich marzeń, uosobienie zmysłowości i wyzwalacz najśmielszych fantazji erotycznych.

Przez wiele lat jej widok otwierał i zamykał każdy mój dzień, przedłużając proces zasypiania i uniemożliwiając

pojawienie się rano w szkole na czas. Nie trzymałem rączek na kołdrze, bynajmniej.

Poznałem ją od razu, choć wyglądała dziś inaczej. Brak szpilek, mocnego makijażu i wieczorowej sukienki robił swoje. Miała rozwiane włosy, bawełniane szorty i biały, rozciągnięty podkoszulek, który, powiewając na wietrze, odsłaniał ramiączka czarnego sportowego stanika. I to była Sky, w której kochałem się sześć lat temu, kiedy byłem jeszcze nieletnim pryszczakiem z aparatem na zębach, o dwie głowy niższym niż obecnie. Nonszalancko niedopracowana, dzika, swobodna i niczym nieskrępowana. Moja pierwsza miłość, niezaspokojone marzenie, pierwszy raz blisko na wyciągnięcie ręki, chociaż teraz niedostępna nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Sky

– Wszystko w porządku? – odezwał się ciepłym, seksownym głosem z lekką, jazzową chrypką. Zachowywałam się jak jakaś zboczona pustelnica z leśnej kniei i zamiast powiedzieć cokolwiek, przełknęłam głośno ślinę, z nabożeństwem studiując hebanowy odcień jego rzęs. Zachowanie godne wygłodniałego ludożercy, którego jedynym zmartwieniem jest, czy zdoła zjeść ofiarę w całości, tak, żeby nic się nie zmarnowało. Nie podobało mi się co był w stanie zrobić ze mną samym tylko spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz? – powtórzył, gdy moja twarz zaczęła promieniować jaskrawą czerwień. Zarumieniłam się chyba pierwszy raz w życiu! W końcu, kiedy zaczęło mi się wydawać, że ta moja żenująca afazja przedłuży się

w nieskończoność, odchrząknęłam i zabłysnęłam najoryginalniejszym tekstem wszechczasów:

– Świetny *back flip*¹!

– Rozgrzewam się. – Wyszczерzył śnieżnobiałe zęby, w zabójczym uśmiechu.

– Co jeszcze potrafisz? – Boże, czy ja flirtowałam z tym zbiegiem z Olimpu? Do tej pory godzinami fantazjowałam o jego oczach, nie mając pełnej wiedzy na temat reszty. Niestety, CAŁY był doskonały, od rozczochranych czarnych kędziorów po czubki zgrabnych palców u stóp. Pieprzona perfekcja w męskim ciele.

Zamiast odpowiedzieć, zrobił kilka kroków do tyłu i drwiąc sobie z praw fizyki, bez wysiłku, wybijając się z piasku, przerzucił swoje blisko dwa metry wzrostu w przód i posłał mi kolejny szelmowski uśmiech. Odezwało się moje zboczenie zawodowe i zmiękły mi kolana. Jestem przyzwyczajona do oglądania tego typu pokazów, bo z założenia tancerze to grupa gibkich facetów, jednak okaz stojący przede mną, oprócz tego, co widywałam na co dzień, nokautował mnie czymś jeszcze: nieświadomą swojej siły seksualnością. Był pewny siebie, ale nie w cwaniacko kokieteryjny sposób, tak jakby była to po prostu cecha charakteru, a nie wynik zerkania w lustro. W uroczy sposób nie zauważał, jak na mnie oddziałuje.

Blue

Właściwie, to co ja sobie wyobrażałam, rozmawiając z nią na tej plaży? Powinienem pod byle pretekstem uciec, zanim zapytała mnie o imię i sama się przedstawiła ściskając

¹ *Back flip* – salto do tyłu (przyp. aut.).

moją dłoń. ON wyraźnie wytyczył granice mojej swobody – miałem nigdy nie zbliżyć się do Sky – było to dla nas zbyt ryzykowne. Im mniej kontaktów z ludźmi, tym lepiej. Zasady były proste – pozostawać w cieniu, nikomu nigdy nie zdradzać, czym się naprawdę zajmuję, kłamać, manipulować, być jak ON – Boss, mój starszy brat. A jednak Ignąłem do niej jak ta durna ćma, pod skórą czując, czym to się skończy. Uspokajałem się w myślach, że może tak właśnie musiało być, że to nie zbieg okoliczności a przeznaczenie, bo to przecież ona odnalazła mnie, a nie na odwrót. Może jeśli bezszelestnie wejść do jej życia, to on nie zauważy, a jeśli nawet w końcu przejrzy na oczy, to ostatecznie to zaakceptuje, jakoś się wszystko ułoży, a nasze rodzinne brudy nigdy nie ujrzą światła dziennego. Jakie znaczenie mogła mieć ta zwykła rozmowa? Przecież i tak nie miałem u niej żadnych szans i wcale nie marzyłem, żeby zająć jego miejsce, prawda? Chciałem tylko być obok, czysto towarzysko, czasem spędzić z nią kilka chwil, porozmawiać. Gównno prawda! Od momentu, kiedy jak ten skończony idiota podpowiedziałem mu, że demo zespołu Sky jest najlepsze i że powinien ją zatrudnić, nie mogłem przełknąć tego, jak szybko zaciągnął ją do łóżka. Mój brat przebierał w kobietach, ale musiał zapragnąć właśnie tej, którą od lat wielbiłem. Od zawsze odbierał mi wszystko. Trzymała nas razem tylko jedna rzecz – nielegalny biznes, który pozwoli nam sfinansować wyrównanie rachunków z przeszłości.

Sky

Blue. Powiedział, że mówią do niego Blue. Lepszej ksywki bym nie wymyśliła. Z reguły nie jestem nieśmiała, nie

mam problemu z poznawaniem nowych ludzi i zawsze z łatwością idzie mi podtrzymanie dialogu. Przy nim nie byłam nawet w ćwierci sobą, gorączkowo przeczesywałam swój umysł w celu znalezienia jakichś konwencjonalnych tematów do rozmowy, ale moje nieszczęsne myśli krążyły tylko wokół jego urody, a żołądek ścisnął się w szybkim rytmie flamenco, grożąc dopełnieniem mojego wątpliwie kuszącego image`u puszczeniem pawia prosto pod nogi rozmówcy.

Byłam żałosna i prosiłam niebiosa o w miarę szybką śmierć. Jak na złość zamiast zbliżającej się wprost na nas asteroidy, widziałam tylko jego piękną twarz. Szliśmy ramię w ramię, boso, po kostki w wodzie. Ciekawiło mnie, skąd u niego takie umiejętności akrobatyczne, a on skromnie podsumował to jako hobby, jeszcze z czasów szkolnych i mimochodem dodał, że oprócz tego uprawia *parkour* i że kręci go wszystko, co wymaga kontroli nad ciałem.

Zapytałam o blizny. Kilkanaście jasnych linii kontrastowało z jego opaloną, oliwkową skórą, drażniąc moje oczy tym estetycznym dysonansem. Cztery na prawym bicepsie, jedna na plecach, wzdłuż łopatki, pięć na klatce piersiowej i jedna na twarzy, świeża, pewnie po zajściu w *The Fight*. Zmarszczył brwi, chwilę zwlekał z odpowiedzią, a później uśmiechnął się i powiedział, że dorastał w wiejskiej dzielnicy. Wymacałam niebezpieczny rewir, czułam, że kłamie w żywe oczy.

Blue

Nie wiem, czy to potrzeba rozmowy z kimś spoza mojego zamkniętego świata, czy fakt, że rozmówcą była właśnie

ona, ale dostałem słowotoku. Plotłem trzy po trzy, o sporcie, o technice w akrobatyce, o muzyce, która mnie kręci i, kurwa, nawet o psie, którego miałem w dzieciństwie. Jestem w szoku, że nie uciekła, bo musiało ją to potwornie nudzić. Słońce dawno zaszło, zrobiło się jeszcze chłodniej, nieubłaganie zbliżała się pora pożegnania, a ja gorączkowo myślałem, co zrobić, żeby zatrzymać ją przy sobie dłużej, więc w końcu zacząłem wypytywać ją o to, co przecież doskonale wiedziałem: kim jest, co robi i tym podobne. W porę ugryzłem się w język, zanim zapytałem, czy się z kimś spotyka – po pierwsze nawet z moim zerowym doświadczeniem w relacjach z kobietami wiedziałem, że taki tekst już samą treścią trącił przedszkolem, zwłaszcza z ust kogoś sporo od niej młodszego. Po drugie – należała do mojego brata i nie chciałem słyszeć, jak mówi to na głos, tak jakby bez słów wypowiedzianych na głos, łatwiej było udawać, że jest zupełnie inaczej.

Sky

Boże, jak mi ulżyło, kiedy zesłiśmy na temat tańca. Nadal byłam niesamowicie spięta i czułam się jak w jakimś żałosnym półśnie, który zbyt mi się podobał, żeby zdecydować się wreszcie ocknąć. Na szczęście, opowiadając o swoich pomysłach na show, tak bardzo starałam się oddać słowem wszystkie układy, które wymyśliłam, że stres ustąpił i żołądek przestał podchodzić mi do gardła.

– Chciałbym was kiedyś odwiedzić. – Jego słodki uśmiech rozmiękczyłyby kamień.

– Nie ma problemu, możesz przyjść na którąś próbę – rzuciłam, pewna, że sugestia była tylko miłym elementem kończącej się powoli rozmowy.

– A mogę teraz? – No i tym mnie zastrzelił. Oczywiście miałam jak spodki i pewnie wyglądałam jak jedna z emotikon.

– Jasne, będzie mi rażniej wracać tam w ciemnościach. – *Fuck!* Co innego plaża, co innego studio. Część mnie ze szczęścia wywijiała hołubce, bo sposobność, żeby go zatrzymać przy sobie dłużej, pojawiła się sama, jednak ta rozumniejsza połowa dobrze wiedziała, do czego to prowadzi. Zespół. Tylko nie zespół! Moi tancerze są jak zwielokrotniony odbiornik moich nastrojów. Jesteśmy jak artystyczna komuna, działamy jak jeden organizm, przed ważnym eventem praktycznie mieszkamy razem, czytamy sobie w myślach, walczymy na noże, ale też kochamy się jak rodzina. Wiedzą o mnie wszystko i teraz też odczytują bez problemu co siedzi w mojej głowie. A później rozszerzą mój artystyczny pseudonim. Na przykład na „Sky Mokre Gatki”.

Studio mieściło się w pofabrycznym magazynie blisko zamkniętej trakcji kolejowej i pewnie tylko brak sąsiadów ratował nas przed conocną interwencją policji. Z dwustu metrów słyhać było dudnienie muzyki. Voice miksował kawałki na całego, a sądząc po wybuchach śmiechu, tancerze bawili się w najlepsze. W tych warunkach nie usłyszełoby wybuchu bomby nuklearnej, o odgłosie otwieranych drzwi nie wspomnę. Nic dziwnego, że zamiast powitania, Blue, zaraz za progiem, praktycznie dostał w nos rozszalałym tyłkiem Flo, która „twerkowała” na całego, rywalizując z siostrą bliźniaczką o tytuł mistrzowski, detronizując przy okazji mnie, tyle, że w innej dziedzinie. Przestałam być królową opadającej szczęki, bo jej mina na widok mojego towarzysza była nawet lepsza niż moja na plaży. Zanim zdążyłam go przedstawić, mój arcydowcipny muzyk, błyskawicznie złapał krążek Seleny Gomez i puszczając

do mnie oko włączył kawałek *Can't Keep My Hands To Myself*. Mia, młodziutka, filigranowa brunetka obróciła się wdzięcznie wokół własnej osi i bez żadnego ostrzeżenia, dosłownie wskoczyła w ramiona naszego gościa. On, chyba żeby dostarczyć mi więcej wrażeń, złapał ją w tali, uniósł jak piórko i jakby ten manewr trenowali tygodniami, obracając w powietrzu, odrzucił w kierunku zahipnotyzowanej grupki, zakochanych od pierwszego wejrzenia wariatek.

– Fajne to miejsce – krzyknął, zanim dziewczyny zdążyły go wciągnąć w kipiący seksem, improwizowany układ.

– Jasna dupa – wyszeptałam, jak przystało na damę, bezwiednie szukając oparcia w ścianie.

– Będą problemy, Sky – usłyszałam obok siebie głos Jaya, mojego najwierniejszego druha, powiernika, a zarazem zdeklarowanego geja, będącego w burzliwym związku z pewnym nadzianym ekscentrykiem. – Będzie też zajebisty numer popisowy – dokończył, z uznaniem patrząc, jak mój nowy „przyjaciel” rozrabia na całego w tanecznej orgii.